

Michał Makatun

Urodziłem się w Kazachstanie w rodzinie zesłanej z Polski. W miasteczku przy brzegu rzeki Irtysz, a nazywało się Siemijarsk. Tam się urodziłem 15 czerwca 1942 roku.

Jazno, tam mieszkał Makatun, gospodarzył na średnim gospodarstwie rolnym dziadek Daniel Makatun z żoną Agatą. Mieli dwoje dzieci starszego Mikołaja i młodszą córkę Ludmiłę. Ludmiła to jest moja mama.

Powód zesłania - mój wujek Mikołaj był zastępcą naczelnika poczty, a to była przygraniczna strefa, Mikołaj prawdopodobnie należał do policji lub wojska i to był powód. 17 Września 39 wkroczyła do Polski Armia Czerwona, miesiąc później aresztowano wujka Mikołaja. I zasada była taka, że rodzina aresztowanych przeznaczona była do wywózki.

Status zesańca - nie wolno ci opuszczać miejsca, ale „rób, co chcesz”. Nikt tam chleba nie da. Przydział chleba otrzymuje tylko ten, kto pracuje. Podstawą egzystencji przetrwania był chleb.

System – nikt mi już niczym nie osłodzi tych lat, natomiast ludzie Rosjanie, Kazachowie śpiewali obrzydliwe piosenki po rosyjsku „pomnuł psy atamany pomnuł polskie pany” nauczono ich nienawiści do tych burżujów, krwiopijców, którzy przyjadą tu i będą mieszkać, to trwało dwa miesiące do pół roku góra, potem oni zobaczyli, że ci ludzie są kultury wyższej, że tak samo jak oni są sponiewierani. Wielkiej tam życzliwości nie było, ale podzielić się w trudnych sytuacjach Kazachowie potrafili.

Chorowałem bardzo poważnie, była epidemia, dur brzuszny i lekarz powiedział, że nie widzi szans żeby pomóc, proszę zabrać dziecko. To była epidemia, nikt się nie przejmował jednym chorym dzieckiem, była epidemia, głód i brak przygotowania osób majątnych do tak trudnych warunków, ludzie nie byli odporni i umierali bardzo szybko.

Gdy w 1942 roku, ja już byłem, przyjechała w nocy do miejsca gdzie przebywała rodzina Makatunów ciężarówka. Przyjechał syn komendanta policji z Jazna i mówi: Ludmiła w tej chwili wsiadaj w ciężarówkę, bierz wszystkich, jedziemy do wojska Andresa. Ja byłem wtedy malutki, dziadek już chorował i mama się nie zgodziła, tak to bym może funty gdzieś tam zarabiał, a tu nic z tego nie wyszło...

W 1943 roku, przesilenie było i wołano wszystkich zesańców, był tylko jeden pokój i dwie pary drzwi, jednymi się wchodziło, drugimi wychodziło, więc nie było kontaktu. I pytano się, „kto ty jesteś” i bardzo dużo osób z różnych przyczyn podawało narodowość białoruską. Niektórzy tak jak moja mama podawali się za Polaków. A w 1946 kiedy można było już wyjechać wzięto te wszystkie spisy i były tragedie.

I moje osobiste już wspomnienia są nieciekawe. W trakcie podróży do Polski zachorowałem na ucho i mama pytała o felczerów, gdzie można wyleczyć. Docelowym punktem było Łomez, ziemie zachodnie, ale mamie zależało na uratowaniu mojego ucha i powiedziano, że jedynym miastem, gdzie może wyleczyć syna to tylko jest Łódź. I tu się zaczęła cała kołomyja, bo Łódź to było miasto zamknięte, ponieważ Warszawy praktycznie nie było, najbliższy niezburzony ośrodek to Łódź. Kłopotów było co niemiara. Zameldowanie, PUR, PUR to był Państwowy Urząd Repatryjacyjny na ulicy Żeligowskiego, była hala fabryczna wielka taka i tam było 50-80 łóżek. Wszyscy ci, którzy nie mieli gdzie mieszkać. To, co pamiętam do dziś dnia, to jak rano wszyscy wstają i śpiewają, „Kiedy ranne wstają zorze”. Mnie się to tak

podobało, znaczy się spać mi się chciało, bo to była jakaś 6 rano, ale, że to wszyscy razem jak zaśpiewali.

Drugi obrazek, który pamiętam, to jak przyjechaliśmy na stację Łódź Widzew, to była boczna stacja z pomieszczeniami na sprzęt dróżników. Mama tam bagaże postawiła i szukała czegoś, a co kilka godzin przychodził ktoś i prosił opuścić te komórki. W Mieszkach było sporo gospodarstw poniemieckich bardzo dobrych, Niemcy opuścili je nic ze sobą nie biorąc, więc wszystko było, bo przez te wszystkie lata sporo zgromadzili. Do prowadzenia gospodarstw przeznaczono partyzantów ze wschodu, wtedy prominentów, przyszli wybierać sobie osoby do roboty. Czyli ojczyzna, którą tak mama kochała nie przyjęła nas z kwiatami. Bardzo dużo zawdzięczamy pani Kałużyńskiej. Gospodarstwo miała w Mieszkach. I wzięta nas stamtąd.

To pamiętam do końca życia, utrwalił mi się taki obrazek. Gospodarstwo poniemieckie budynek mieszkalny, obora obok dalej stodoła i tak pod górkę droga wysadzona była wiśniami, był czerwiec albo lipiec, dorodne wiśnie wisały, nie wytrzymałem i sam pobiegłem, i najadłem się tych wiśnie do syta z pestkami ze wszystkim, do syta się najadłem. I to było moje takie pozytywne spotkanie z krajem, Polska nakarmiła mnie wiśniami, i do dziś dnia wiśniówkę bardzo sobie cenię. Gospodarstwo przepiękne, gdzie tam w Kazachstanie takie, porcelana, jak się w nią puknęła ona grała, łożka przede wszystkim. Łóżko, człowiek się szwendał po wagonach, w wielu miejscach zamieszkania a tam dostałem swoje łożko. To mi utkwiło właśnie, łożko, porcelana - dla mnie to było zupełnie niepojęte. I jeszcze ten moment, kiedy te wiśnie zobaczyłem, gdy podchodziłem pod górkę to poczułem się jak w raj. Pomyślałem sobie, w raj nie wiem, czy tak dobrze jest.

Ucho w końcu po wielkich trudach udało się wyleczyć w szpitalu Korczaka, kiedyś Anny Marii. Przyjęto mnie do szpitala i po raz pierwszy w życiu tam właśnie mama zostawiła mnie samego. Gdziekolwiek, ja zawsze byłem przy mamie. Pamiętam tylko bramę, szpital odgradzony był. Odprowadziłem mamę aż do bramy i brama się zamknęła no i tragedia była.

Tak jak mama i babcia bezbłędnie mówiłem po polsku i po rosyjsku. Miałem operację, trepanację czaszki i początkowo byłem bardzo źle traktowany przez pielęgniarki, bo to jakiś Ruski przyjechał, bo ja mam trochę twarz inną. Gdy mi włosy do operacji ścinano to już mama widziała, że nie są do mnie dobrze nastawione. I tak było do momentu, gdy mnie poprosiły bym się przeżegnał, przeżegnałem się, powiedziałem pacierz, od tego momentu zostałem pupilkiem.

Później to już jest coraz mniej ciekawie.

Urzędowo nie byłem zwykłym obywatelem, to był taki obywatel, którego Związek Radziecki ukarał, człowiek może nie tak zupełnie wykluczony urzędowo, ale społeczeństwo jeszcze gorzej, ruski przyjechał. Wszędzie czułem się obcy. Dopiero jak zdałem maturę poczułem, że Polska to mój kraj. To na podwórku, na którym mieszkalem dopiero wtedy mnie przyjęto, szczegółów to nie warto opowiadać. Byłem zawsze ten obcy. Zawsze byłem obcy. Było to dla mnie bardzo trudne. I jeszcze wychowywałem się bez ojca. O tym, że urodziłem się na Syberii w ogóle się nie mówiło, dopiero pamiętam jak w 56 roku, kiepsko wtedy mieszkaliśmy i wtedy dopiero wypuszczone karnie zesłanych do łagrów Polaków. Dopiero w 56 roku odwił ruszyła pełną parą i wtedy, szczególnie w wigilię sporo takich ludzi chodziło po domach, bo nie mieli się gdzie podziać, po pierwsze trochę porozmawiać, wypić herbatę, a jak lepszy dom może te wigilię spędzić. I w podwórku odesłano do nas takiego Polaka.

Wtedy dopiero po raz pierwszy właśnie z tym człowiekiem, z chudym mężczyzną 40/50 lat, rozmawialiśmy. W urzędzie nie warto, bo kłopoty mogą być a środowisko... przyjaciół prawdziwych nie miałem, bo zawsze było czuć tę barierę. Po maturze tak. Szczególnie sporo przykrości mam z podwórka, ale po maturze stosunek powoli się zmieniał. Na podwórku rósł orzech, gdy dojrzał był co roku trzęsiony i rzekomo uczciwie rozdawany wśród mieszkańców a my nie dostawaliśmy. Tu właśnie te subtelności wychodzą. Nad nami mieszkał właściciel warsztatu ślusarskiego, który po Niemcach wziął to i bardzo był krytyczny w stosunku do nas i obok nas mieszkały jeszcze dwie Niemki, my nie dostawaliśmy, ale dwóch synów miał ten na górze, to czasem, któryś mi dawał orzechy, ale oficjalnie nie. Dopiero jak maturę zdałem to dostałem przydział orzechów, to był pierwszy krok, później jakoś tam było.

Zawsze czułem strach, że mnie nie zaakceptują, cały czas byłem w napięciu, starałem się nie przesadzać w tym by jakoś specjalnie podlizywać się chłopakom, ale cały czas czułem, że każdy powie „a idź sobie tam”, odpowiednik, jak to się dzisiaj mówi „spadaj”. To był strach, tego się obawiałem. Później to już jakoś było, może ja okrzepłem... mój stosunek też się zmienił i strach był mniejszy.

Mój pobyt w Kazachstanie i to, że ojca nie miałem odcisnęło piętno na moim całym życiu. Ja byłem półsierotą, no niby jest plus - dziecko specjalnej troski, ale jaka to troska, a minus no bez ojca to jest zupełnie co innego. Chodziliśmy po paczki do PCK, w szkole dla półsierot były specjalne zaproszenia na choinkę w liceach, np. trójka zapraszała takie dzieci ze szkoły podstawowej. Liceum piękny budynek, zadbano o to, by zabawy były, ale byłem sam. Wszyscy gdzieś, każdy miał z kim pogadać, a ja byłem sam, plus, bo zaproszono, ale i tak jestem wykluczony, próbowałem pogadać, ale jakoś mi nie szło, mało tego wracając do domu szedłem przez park i dwóch takich zabrało mi paczkę. Gdybym nie był sam, oni by nie podeszli. Dokuczala mi samotność, ale może bardziej nieumiejętność, bo to nie jest tylko ich wina, może ja też zachowywałem się nie tak jak powinienem.

Trzeba mieć silny charakter, jeśli się człowiek stara to osiągnie to, co chce. Jeden tylko miałem słaby punkt - w dowodzie napisane miejsce urodzenia ZSRR i to mnie dyskwalifikowało w wielu środowiskach, no jak to Ruski jakiś tam przyjechał, a ja wróciłem do ojczyzny, więc nie narzekałem.

To, co rodzina przeżyła te komunistyczne historie, które ciągną się już chyba czwarte pokolenie. Losy całej rodziny wszędzie są kasowane przez komunistyczne instytucje, które do dziś dnia to kontynuują. Tu upatruje największe tragedie, które przeszli dziadek, mama i ja, ale dzięki Bogu... Makatunów było trzech dziadek i Mikołaj syn, od momentu zabrania do więzienia nie widzieliśmy go, wiem, że został zabity. W Rosji nie było zwyczaju informowania, że nie żyje, że rozstrzelany albo zabity. Dwóch było Daniel i Mikołaj. Na zsyłce był tylko Daniel jeden Makatun, dziadek umarł, ale mama wróciła do nazwiska panieńskiego (ojciec Kazach zdaje się był). Już miało nie być Makatunów, a jeden jednak wrócił Michał Makatun - ja. Ożeniłem się i urodził się Marek - syn Bogu dzięki. Ale jeden. I on się ożenił i mają Adama - syna, Makatun idzie, ale też jeden. Jakaś opatrność czuwa. I teraz we wnuku cała nadzieja.